

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE
Jerzy Andrzejewski
Ludwik Berger
Romuald Gantkowski
Tymon Terlecki
Ernest Reiss
Franciszek J. Wazeter
Kazimierz Wierzyński

Vol. 4. No. 46 (203) Nowy Jork, 24 listopada — New York, N. Y., November 24, 1946 Cena 20 ct.



NAPOLEON W MŁODZIENCZYCH LATACH
(Studjum Artura Grottgera)

SPRAWA CZŁOWIEKA

W luksusowych apartamentach hotelu Waldorf Astoria od tygodni obradują przedstawiciele wielkiej czwórki, przerywając od czasu do czasu swe konferencje, by z wyżyny swego mocarstwowego majestatu zejść w niskie progi siedziby Organizacji Zjednoczonych Narodów w Lake Success. Celem tych wizyt jest podtrzymanie fikcji, że nie tylko wielkie i silne imperja, ale także mniejsze narody mają coś do powiedzenia w ważnych sprawach tego świata.

Obu konferencjom, tej w Nowym Yorku i tej na Long Island, codziennie poświęcają pisma całe kolumny sprawozdań i omówień. Z lektury tych tasiemców miliony ludzi na obu półkulach dowiadują się o szczegółach traktatów pokojowych z państwami bałkańskimi, o sporze w sprawie Tryjestu, o dyskusjach na temat uchodźców, głodu, procedury obrad O. Z. N. — veta. Dziennikarze i publicyści tłumaczą masom, że wszystkie te sprawy, razem wzięte stanowią wielkie zagrożenie przyszłego pokoju świata.

Pokoju? Cierpliwi konsumenci drukowanego słowa porównują treść obrad w Nowym Yorku i w Lake Success z otaczającą rzeczywistością i ani rusz nie mogą zrozumieć jakim cudem z chaosu może się narodzić ład, a z tego morza dyplomatycznego kłamstwa, obłudy i cynizmu utęskniony przez ludzkość pokój?

I oto, w takiej chwili powszechnej dezorientacji, padają słowa, w świetle których wszystko staje się jasne i zrozumiałe. Konferencja biskupów katolickich w Stanach Zjednoczonych, w orędziu swem z dnia 16 listopada stwierdza co następuje:

“U źródła wszystkich zagadnień dzisiejszego świata leży zagrożenie człowieka. Dopóki ci, którzy ponoszą ciężar odpowiedzialności za kierownictwo polityką światową, nie uzgodnią swych zasadniczych poglądów na sprawę jednostki ludzkiej, dopóty nie może być mowy o usunięciu chaosu, zagradzającego dziś drogę do prawdziwego pokoju.

Spory o granice, o bezpieczeństwo narodów i mniejszości narodowych, o wolność handlu, o dostęp do surowców, o stopniowe rozbrojenie i o kontrolę energii atomowej, jakkolwiek wszystkie dotyczą spraw bardzo ważnych, to jednak zajmują one drugie miejsce za zasadniczą potrzebą jedności w obronie praw nadanych przez Boga każdemu człowiekowi.”

Oto w najprostszycy słowach sformułowane, najważniejsze i węzłowe zagrożenie ludzkości i przyszłego pokoju!

Na tragicznym rozstaju dróg, ludzkość musi znaleźć decydującą odpowiedź i przedewszystkiem na jedno pytanie: Czy podmiotem przyszłych dziejów ma być wolny człowiek czy państwo totalne, koszarujące i ujarzmiające jednostką ludzkość? Czy miarą przy budowie przyszłego pokoju ma być prawo i moralność, czy brutalna siła i gwałt? Czy ludzkość ma pójść za wskazaniem Lincolna: “z ludem przez lud, dla ludu” czy Metternicha “wszystko dla ludu, nic przez lud”? Za ideami “Deklaracji Niepodległości” czy “Manifestu komunistycznego”?

Od wyraźnej, jasnej, niedwuznacznej odpowiedzi na te pytania zależy — wszystko.

To, co od lat blisko dwóch dzieje się w polityce międzynarodowej, zarówno *via facti*, jak i na konferencjach w stolicach świata jest z jednej strony wielką ucieczką demokracji w *vacuum* bezwładu i *appeasementu*, z drugiej wielką ofensywą sowieckiego totalizmu, zdążającego do narzucenia tyranji całemu światu.

Wszelkie konferencje i narady wszelkie uchwały międzynarodowe i narzucane siłą traktaty, wszelkie fakty dokonane, które pragną przeszmuglować przyszły pokój bez wyraźnego rozstrzygnięcia węzłowego zagrożenia człowieka i jego niepozbawialnych praw, nie będą zdolne ani zbudować, ani tembardziej zabezpieczyć gmachu trwałego pokoju. Jedynym sukcesorem tej chorej epoki “ni wojny, ni pokoju” może być tylko wyłącznie chaos myśli, najpotężniejszy sojusznik tyranji i totalizmu.

**KSIĄŻKI „BIBLIOTEKI POLSKIEJ” NAJLEPSZYM
PODARKIEM GWIAZDKOWYM**

LUDWIK BERGER

TRAGICZNE POŁOŻENIE POLSKICH UCHODźCÓW NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

Według informacji podanych przez brytyjskie Headquarters na Środkowym Wschodzie, mieli korzystać z prawa przynależności do Korpusu Przysposobienia w Wielkiej Brytanji, wszyscy cywilni uchodźcy polscy, będący t. zw. "dependants" czynnych wojskowych względnie inwalidów wojennych. Ponieważ większość polskiego uchodźstwa cywilnego na Środkowym Wschodzie złączona jest węzłami pokrewieństwa z aktywnymi względnie byłymi wojskowymi, wydawało się więc na podstawie wyjaśnień brytyjskiego sztabu w Kairze, że chwilowe rozwiązanie losu uchodźców nastąpi przez przeniesienie ich do Wielkiej Brytanji.

W połowie października b. r., kiedy większość uchodźców znajdowała się w pełnym pogotowiu do wyjazdu, nadeszło nowe objaśnienie z Kairu, po myśli którego mają być przetransportowani ze Środkowego Wschodu na wyspy brytyjskie wyłącznie ci uchodźcy cywilni, którzy stanowią nie "dependants", lecz "family", t. j. najbliższą rodzinę żołnierza czynnej służby. W ten sposób kilkadziesiąt procent uchodźców cywilnych znalazło się nagle poza możliwością korzystania z instytucji Korpusu Przysposobienia w Wielkiej Brytanji. Równocześnie z nadejściem wiadomości o ograniczeniu praw uchodźstwa cywilnego do przeewakuowania go ze Środkowego Wschodu, wszczęła UNRRA akcję spisywania do powrotu do Polski. Wiadomo, że pierwsza akcja repatriacyjna UNRRA przeprowadzona w ośrodkach polskich w Palestynie, Egipcie i Libanie w ciągu sierpnia br., dała niezwykle mizerne wyniki, bo objęła zaledwie trzysta kilkadziesiąt repatriantów, z których zresztą większość zbiegła po drodze z transportów i nie dotarła do Polski.

Podjęta z końcem września i w październiku przez UNRRA ponowna akcja spisywania na powrót, została jednak tym razem poparta szczególnymi represjami natury materialnej i kulturalnej. Kiedy przeprowadzony w Libanie pomiędzy 27 września a 10 października spis UNRRA'y na powrót do Polski dał w wyniku 92 zgłoszonych, na ponad pięć tysięcy uchodźców przebywających w Libanie, przystąpiła UNRRA do zastosowania ostrych rygorów karnych przeciw uchodźcom niechętnym do powrotu. W dniu 25 października, to jest zaledwie na pięć dni przed wypłatą zasiłku za miesiąc listopad, obniżono nagle i bez żadnej zapowiedzi, uchodźcom zamie-

szkałym w Palestynie, Egipcie i Libanie miesięczne zasiłki pieniężne o dwadzieścia procent. Równoległe z obniżką t. zw. podstawowych zasiłków zniesiono całkowicie dodatki "na dożywianie", które w wysokości od jednego do trzech funtów miesięcznie wypłacano ciężko chorym, głównie gruźlikom. Wreszcie na terenie samej Palestyny pozbawiono zupełnie zasiłków, a więc skazano dosłownie na głód i wyrzucenie z mieszkań około ośmiuset uchodźców, były wojskowych i inwalidów wojennych, wdowy i sieroty po poległych, którzy posiadają t. zw. palestyńskie wize stałego pobytu.

O bezwzględności postępowania wobec uchodźców na Środkowym Wschodzie, świadczy fakt, że UNRRA—wbrew protestom Brytyjskiego Komitetu dla Spraw Polskich—zniósła równocześnie z nagłą obniżką zasiłków pieniężnych instytucje opieki lekarskiej, a więc skasowała szpitaliki polskie, przychodnie lekarskie, przydział lekarstw. Nie wahano się skasować fundusz dotacyjny dla chorych nie-

uleczalnie, którzy dotąd znajdowali się w szpitalach publicznych w Palestynie i Egipcie. Od 1-go listopada nastąpi też zamknięcie istniejących w Palestynie od kilku lat polskich domów dla połącznic i przytułków dla dzieci.

Celem kompletnego rozgromienia uchodźstwa, zarządziła UNRRA poza ograniczeniami materialnymi i zdrowotnymi, ograniczenia natury oświatowo-kulturalnej. Najostrzej został potraktowany decyzją UNRRA'y budżet "Delegatury Oświaty Polskiej", dotowany przez Interim Treasury Committee kwotą początkowo funtów dziesięć tysięcy, a ostatnio, to jest po zastosowaniu najdalej idących oszczędności kwotą ponad funtów pięć tysięcy. UNRRA przeznaczyła począwszy od 1-go listopada 1946 na cele oświaty polskiej kwotę funtów 500 (słowami: funtów pięćset), a więc mniej niż dziesięć procent z budżetu oszczędnościowego, obowiązującego do października 1946.

Nie trzeba tłumaczyć, że takie 90-procentowe obniżenie funduszu na oświatę, dokonane na pięć dni przed terminem miesięcznych płatności, stanowi o całkowitem zlikwidowaniu szkolnictwa. Od 1-go listopada zostaną zamknięte szkoły polskie powszechne i średnie w Tel-Awiv i w Jerozolimie, istniejące sześć, względnie cztery lata. Likwidacji natychmiastowej podlegają kursy zawodowego kształcenia dorosłych, nazywane "przedszkołem Korpusu Przysposobienia". Likwidacji z natychmiastową ważnością podlegają wszystkie świetlice polskie. Następuje więc nagle i niespodziewanie fizyczne, kulturalne i organizacyjne rozgromienie życia uchodźców polskich na Środkowym Wschodzie.

Nasuwają się nieodparte pytania: w jakim celu instytucja bądź co bądź charytatywna, za jaką winna uchodzić UNRRA, zastosowała sankcje karne, zagrażające życiu tysięcy ludzi? Na zapytanie to jest tylko jedna odpowiedź. UNRRA wprowadziła w czyn swe sankcje karne przeciwko uchodźcom polskim na Środkowym Wschodzie równocześnie z podjęciem przez nią na wielką skalę zakrojonej akcji spisowej na powrót do Polski. Głodem, nędzą, brakiem pomocy lekarskiej, brakiem dachu nad głową, brakiem nauki dla dzieci agituje charytatywna i apolityczna instytucja pod nazwą UNRRA na rzecz powrotu uchodźców wojennych pod sowiecki reżim w Polsce Bieruta.

C Z Y T A J C I E

Bibliotekę "Tygodnika Polskiego"

"KRZYŻE I MIECZE" Kazimierz Wierzyński

(tom poezji —

Cena w oprawie \$3.00)

"O LITERATURZE POLSKIEJ"

J. Lechonia

(cena \$3.00 w oprawie)

oraz Wydawnictwo Biblioteki Pol.

"ARJA Z KURANTEM"

J. Lechonia

(cena \$1.25 i \$2.00 w oprawie)

Są do nabycia w administracji
"Tygodnika Polskiego", 157 East

64 St., New York 21, N. Y.

JERZY ANDRZEJEWSKI

P O W R Ó T

(FRAGMENT POWIEŚCI "NATCHNIENIE ŚWIATA")

(Ciąg dalszy)

Nigdy do tej pory nie przeżył wzruszenia równie dławiącego i szczęścia tak bezgranicznie czystego, jak w owej chwili, kiedy poczuł w ramionach drobne i wiotkie ciało tego swego syna, ocalonego i zdrowego, a pod wargami chłód gładkich dziecięcych policzków. Mały przytulił się do jego piersi i na chwilę, całkiem jak pełen ufności ptaszek, zamarł w bezruchu, przymknawszy oczy i nie oddychając prawie. Potem przypomniał sobie widać porzuconych towarzyszy, bo lekko się zarumienił i zawstydzony wysunął się z ojcowskich ramion. Dopiero teraz mógł się Gaszycki przyjrzeć synowi. Nie wyglądał dobrze: zmizerniał i przybladł, za to wyrósł bardzo przez te sześć tygodni i wydorósł. Wśród wspomnień, które ostatnio stawały się o wiele odleglejszymi, niż czas ich oddania, wyobrażał sobie Gaszycki Tomaszka mniejszym i drobniejszym.

— Urosłeś... — uśmiechnął się.

Tomaszek z ukosa zerknął w stronę kolegów.

— Co wy robicie z tymi deskami? — spytał Gaszycki.

Mały spojrzał bardzo poważnie.

— To na opał...

— Nie ma drzewa?

— O nie! — potrząsnął głową Tomaszek. — Bardzo trudno dostać.

I zaraz dodał:

— Wodę też trzeba nosić.

Przybliżyli się tymczasem do chłopców. Dwóch z nich wyglądało na rowieśników Tomaszka. Jeden nie wyszedł jeszcze całkiem z dziecięcej pulchności, miał rumiane pyzate policzki, okrągłe jak u wróbla oczy, a włosy o rudawym z lekka odcieniu. Drugi był czarny i smagły. Gaszycki pamiętał obu malców z widzenia, wiedział, że mieszkają w tym samym bloku, pojęcia jednak nie miał, jak się nazywają. Natomiast znajomy był mu trzeci: starszy od tamtych o parę lat, wyrośnięty na swój wiek chłopak, smukły i zgrabny, o bardzo jasnych, trochę bezczelnych oczach i wyraziście zatrysowanych brwiach. Był to najmłodszy z trzech synów pana Zienowicza. Zienowiczowie mieszkali we własnej willi zaraz nieopodal. Ostatniej wiosny Gaszycki zachodził do nich kilkakrotnie, kiedy ów Stefan przy jakichś swoich przedsięwzięciach złamał sobie był rękę. Gaszycki przywitał się z chłopcem i podał także rękę tamtym dwóm. Byli trochę speszeni, lecz przyglądali się mu bardzo badawczo i z zaciekawieniem.

— Jak twoi rodzice? — spytał małego Zienowicza.

— Są — odparł śmiało Stefan. — Tylko Karola i Janka nie ma. Karol poszedł do wojska, a Janek, jak wszyscy wychodzili, wyszedł ze Stasiem Świeradzkim. To jego brat — wskazał na puciołowatego towarzysza.

Od strony dziedzińca dobiegł odgłos rąbanego drzewa.

— To Franek rąbie! — wyrwał się z akcentem dumy drugi z dwóch małych.

Stefan Zienowicz spojrzał na niego karcąc i sam począł wyjaśniać Gaszyckiemu.

— Tam dalej na ulicy jest połamany parkan, więc my bierzemy stamtąd deski i nosimy, a jego brat rąbie...

Tomaszek, który stał milczący i unikał spoglądania w stronę ojca, schylił się, żeby podnieść swoją deskę. Ale Stefan zatrzymał go.

— Nie, daj spokój! — potrząsnął głową, marszcząc ciemne brwi — my to sami zrobimy... Drzewo też możemy ci przynieść.

Tomaszek zaczerwienił się i nie był zdecydowany, co zrobić. Gaszycki chciał mu ułatwić.

— Jeżeli chcesz, Tomaszku, to zostań i potem przyjdź. Babcia jest w domu, prawda?

Tomaszek wyprostował się.

— Nie, to ja pójdę — zdecydował pośpiesznie, nie patrząc na ojca.

Poszedł przodem, a Gaszycki poegnawszy się z chłopcami podążył zaraz za nim. Mieszkanie Gaszyckich mieściło się w środkowej części bloku. Ojciec i syn przeszli ten odcinek drogi w milczeniu. Gaszycki myślał o spotkaniu z matką i już o nic nie rozpytywał Tomaszka. Czuł w sobie tylko wewnętrzny pośpiech, nieomal odurzenie tym wszystkim, co czynił, że znalazł się oto w domu i szedł chodnikiem tak dobrze i od tyłu lat znany. Gdy się zbliżali do swojej klatki schodowej, przypomniały mu się naraz jakieś bardzo dawne, szkolne jeszcze lata, kiedy przeniknięty podobnym trochę, co teraz pośpiechem, wracał do domu z pierwszych bez matki spędzonych wakacji. Ledwie spojrzał na parterowe okna mieszkania. Zauważył, że w jego gabinecie ocalała jedna szyba, pozostałe okna zabite były dytką.

Wtem, już na klatce schodowej, Tomaszek, który szedł pierwszy, zatrzymał się. Gaszycki położył mu rękę na ramieniu.

— No, Tomaszku...

TYGODNIK POLSKI

is

PUBLISHED WEEKLY

by

TYGODNIK POLSKI

at

157 East 64th Street

New York 21, N. Y.

Tel. Regent 7-4168

Editor:

Jan Lechoń

Adm. and Business Manager:

Dr. Leopold Obierek

Subscription

Monthly 80 cents

Half Yearly \$4.80 Yearly \$9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879".

Powiedział to głosem ściszym, lecz nie wiedzieć czemu wydało mu się, że matka, albo już wprawdzie doszła była jego kroki, lub teraz dobiegł ją ze schodów znajomy głos i tak, jak się często zdarzało, gdy wracał dawnymi laty do domu, ukaże się we drzwiach. Widział je poprzez skręt metalowej poręczy. Były bardzo obdrapanie. W wielu miejscach tynk podpadał ze ścian i biały pył i mialki gruz wałowały się jeszcze na schodach.

— Tomaszku! — powtórzył głośniejsze. Dopiero teraz mały obrócił się ku ojcu. Gaszycki przeraził się ujrawszy jego zmienioną, poszarzałą zupełnie twarz.

— Tomaszku... — szepnął.

Mały bez słowa wpatrywał się w niego szeroko rozwartymi, cierpiąciami oczami. Wargi drżały mu podobnie, jak wówczas, gdy po raz pierwszy na ojca spojrzał. Zaciśkał się jednak kurczowo, widać było, że wszystkimi siłami walczy ze szlochem, który narasta w jego wątlej, cienkiej szyjce. Gaszycki schylił się i przycisnął dziecko ku sobie.

— No, syneczku — powiedział — co ci jest? Idziemy przecież do babci...

Tomaszek pozwolił przygarnąć się, drżał jednak w ramionach ojca i wciąż wpatrywał się w niego tem samym rozpaczliwym spojrzeniem. Nagło poruszył wargami.

— Co mówisz? — spytał go.

— Nie ma babci — szepnął.

Gaszycki uśmiechnął się. Wydało mu się, że odgadł zmartwienie syna. — Wyszła? I wzięła z sobą klucze od mieszkania, tak?

Tomaszek odetchnął głęboko.

— Nie, nie ma.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zdradzony Aljant

(FRAGMENTY Z OSTATNIEGO ROZDZIAŁU KSIĄŻKI DAVIDA MARTIN'A P. T. "ALLY BETRAYED",
O GENERALE DRAŻY MICHAJŁOWICZU)

W jesieni w roku 1946 Michajłowicz zachorował na tyfus. Umierającego Generała nieśli Czetnicy na noszach z wioski do wioski, z jednej kryjówki górskiej do drugiej, zawsze w ruchu, bez chwili odpoczynku, wiecznie tropieni przez wojska partyzanckie. Na początku roku 1946 przyjaciele napisali do niego ze Szwajcarii, błagając, aby choć na krótki czas opuścił Jugosławię, odpoczął, i odzyskał siły. Mimo, iż wciąż jeszcze nie mógł poruszać się o własnych siłach, Michajłowicz odmówił. Pomimo prześladowań i klęsk, jego ruch powstańczy rósł na siłach. Gorycz i uczucie krzywdy doprowadzały ludność do rozpacz. Dochodziło do tego, że dowództwo Czetników liczyło się poważnie z możliwością powszechnego powstania w ciągu miesięcy letnich. To właśnie sprawiło, że Michajłowicz zdecydował się nie opuścić Jugosławii. Na błaganie szwajcarskich przyjaciół, odpowiedział następującym listem, datowanym dnia drugiego lutego 1946 roku:

"Pod żadnymi pozorami nie opuszczę mojego kraju i moich ludzi. "Ojczyzny nie zabiera się ze sobą na podszwach butów" — powiedział Danton, kiedy go namawiano by opuścił Francję. Powtarzam dziś jego słowa. Nie jestem bowiem Josipem Broz Tito, który nie ma nic wspólnego z tym krajem i z tym ludem. Nie będę uciekał w obliczu niebezpieczeństwa, i nie będę szukał schronienia na żadnych dalekich, niedostępnych wyspach".

"Zawsze wam powtarzałem i powtarzam, że któregoś dnia Aljanci muszą się zorjentować, iż popełnili błąd wydając Jugosławię w ręce Tita i jego bandy komunistycznych terrorystów. Churchill był pierwszym, który do tego popychał, jak również do związanych z tym błędów polityki aljanckiej. Dzisiaj jednak zdaje on sobie sprawę, że popełnił błąd; w niedawnym oświadczeniu prasowym w Brukseli miał on odwagę przyznać się do pomyłki. Wszyscy inni odpowiedzialni mężowie stanu dojdą kiedyś do tego samego wniosku."

"Wiem zbyt dobrze czem byłyby wojna domowa w dzisiejszych okolicznościach. Narodowe powstanie byłoby usprawiedliwione z punktu widzenia wojskowego jedynie wówczas gdyby kraj był wolny od obcych wojsk, które popierają terrorystyczny reżim będący dziś u władzy — reżim złożony z garstki komunistów częściowo z naszego własnego kraju, a częściowo sprowadzonych z zagranicy, i który

utrzymuje się w taki sam sposób w jaki tyrański reżim Ustaszki utrzymywał się dzięki niemieckiej pomocy. Powstanie byłoby niepotrzebne gdyby nasi zachodni Aljanci mogli umożliwić przeprowadzenie w Jugosławii wolnych i demokratycznych wyborów: mniejszość komunistyczna narzucona nam przez polityków-kompromisowców, i przy pomocy sowieckich bagnatów, zostałyby wówczas unicestwiona głosami naszych wyborców."

"Teror komunistyczny rośnie wewnątrz kraju z dnia na dzień. Siły moje wynoszą dziś właściwie cały naród, składając się zarówno z tych którzy są w Jugosławii, jak i z tych co są zagranicą. W naszych wolnych górach mamy ponad sto tysięcy bojowników, podzielonych na grupy od dziesięciu do stu ludzi, rozrzuconych po całym terytorjum. Grupy te są tylko załóżkami, z którego powstaną nowe brygady i nowe dywizje, jeżeli będziemy zmuszeni do wyzwolenia się z bronią w rękę z pod obecnego tyrańskiego reżimu Tito i jego bandytów. Takim małym grupom jest znacznie łatwiej unikać partyzanckich band gończych, oraz rozwiązywać problem żywnościowy."

"Komuniści koncentrują wszystkie wysiłki, aby mnie schwytać. Zmobilizowali oni wszystkich swoich służalców — Bułgarów, Albańczyków i innych komunistów — którzy niczego bardziej nie pragną jak "zlikwidowania mnie". W dążeniu tem sowieccy specjaliści znaleźli godnych siebie sojuszników. OZNA jest czujna jak nigdy, rzuca złoto na prawo i lewo, usiłuje przekupować schwytych gońców, i wprowadzać zdrajców do naszych szeregów. Nie jeden raz byłem w rozpaczliwej sytuacji, otoczony ze wszech stron i wydawałoby się, bez żadnej nadziei ratunku. Z pomocą Boga udało mi się zawsze wyrwać."

"Wiecie co jest moim celem strategicznym: zachować siebie za wszelką cenę, aby móc wykonać wielkie zadanie, które leży przedemną. Może się stać, że padnę w walce o naszą świętą sprawę. Wszyscy jednak dobrze wiecie, że nie będzie to znaczące, iż sprawiedliwa sprawa, o którą nasz naród walczy, upadnie wraz ze mną. Ponieważ jestem tylko tym, który wykonuje wolę ludu — dlatego poszedłem w bój przeciw okupantom, a potem przeciw komunistom. Ani przez chwilę nie wątpię, że jutrzeńska wolności z Rawnej Góry zajaśnieje wkrótce nad naszą nieszczęsną i umęczoną Ojczyzną..."

Kurtyna zapadła. Ostatni akt tragedji Draży Michajłowicza zakończył się.

25-go marca, 1946, w rok po upadku Belgradu, komunistyczna prasa jugosłowiańska doniosła z dumą, że Generał Michajłowicz został schwyty.

Przez rok i pięć miesięcy partyzancka armja Tita, złożona z pięciuset tysięcy ludzi, poruszała niebo i ziemię, aby Michajłowicza ująć. Do tego celu przeznaczono pełnych sześć dywizji. Nastąpiło na kolosalną skalę zakrojone polowanie na człowieka, największe chyba w historii, w ciągu którego stoczono wiele krwawych bitew. Tito stracił jednego ze swych najlepszych i najbardziej ulubionych oficerów, generała Draphina. Michajłowicz został jednak w końcu osaczony ze wszystkich stron. Tragiczna gra nie mogła trwać dłużej. I tak można to było nazwać cudem, że potrafił on przez tyle czasu opierać się i unikać zastawionych nań pułapek. Oczywiście działać się to mogło tylko dzięki pomocy chłopów serbskich.

Dnia 10 czerwca rozpoczął się sąd nad Michajłowiczem. Dnia 15-go lipca, w wyniku ponurej komedji nazwanej przez komunistów "rozprawą sądową", Michajłowicz i paru jego oficerów zostało skazanych na śmierć. Niespełna 48 godzin później Michajłowicz został rozstrzelany...

* * *

Michajłowicz został skazany za "zbrodnię" przeciwstawiania się partji komunistycznej. Był on sądzony przez sędziów, którzy byli jednocześnie oskarżycielami. Był sądzony przez trybunał, który bezwzględnie wykluczył wszelkie dowody prawne obrony, pozwalając natomiast prokuratorowi opierać się na niesprawdzonych pogłoskach, nawet w tak ważnych sprawach jak mordowanie lotników aljanckich. Był on sądzony przez trybunał, który nie ważył się opierać oskarżenia przeciw Michajłowiczowi na zeznaniach umyślnie sprowadzonych krzywoprzysięzców. Był sądzony przez totalistyczny reżim, który zawczasu ostrzegł obywateli jugosłowiańskich, iż zeznania na rzecz obrony będą mogły być poczytywane za zdradę stanu.

Świat cywilizowany nigdy nie uzna belgradzkiego wyroku. Setki brytyjskich i amerykańskich oficerów, którym w Belgradzie nie pozwolono zeznawać, ogłosiło prawdę o Michajłowiczu wobec Trybunału Opinji Światowej.

TYMON TERLECKI

WIELKA KSIĄŻKA EMIGRACJI

Zbiór wierszy Wierzyńskiego "Krzyże i miecze"*) jest wydarzeniem literackim i wydarzeniem jeszcze jakiejś innej natury, niełatwej do określenia. Na tę szczególną ważność składa się i ambicja twórcza, i chwila, z którą zbiega się jej publiczne ujawnienie.

Jedno i drugie przywodzi na pamięć "Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego". Jak prawodawca książka wielkiej emigracji, "Krzyże i miecze" wyrastają z przeżycia polskiego losu zbiorowego i z woli odczytania jego sensu. Jak tamto posłanie do wychodźców listopadowych, także ten tom zjawia się w chwili krytycznej i zwrotnej, w chwili aż niepokojąco podobnej, kiedy emigracja wojenna i zbrojna przeobraża się w emigrację polityczną. To sprawia, że i adres obu książek jest ten sam. Końcowe słowa "Książ": "Czytajcie je Bracia-Wiara-Żołnierze" kojarzą się z ostatnimi słowami wiersza, który zamyka książkę Wierzyńskiego: "Zostań dla żołnierzy".

To zestawienie nie stawia znaku równości między dwu dziełami. Jest tylko umiejscowieniem dzieła, które wyszło z pośród nas, w przestrzeni duchowej i historycznej. Analogia zresztą sięga głęboko i ujawnia rysy istotnego podobieństwa. Tłumaczy się ona faktem, że cała postawa Wierzyńskiego jest oparta na ostrej, czujnej, natężonej świadomości historycznej, cała jest wyrazem zbiorowej pamięci tragicznej. Przeżycie, ocena moralna doli polskiej dokonywa się u niego w perspektywie głębokiej, w perspektywie powstań i walk wyzwoleniczych, klęsk i zwycięstw, w świetle poezji romantycznej, "Biblii polskiej", w świetle instynktu, który stanowi o przetrwaniu jednostek i zbiorowości, tego polskiego arcynstynktu, bez którego już sto kilkadziesiąt lat temu przestali byśmy istnieć jako naród.

Poezja "Krzyżów i mieczy" jest to poezja pamięci — tej, co po wytłumaczeniu wydarzeń sięga wstecz, poza siebie, i tej, co wola zmiany, odwetu, wyrównania przerzuca się przed siebie. "Pamięć-krzywda i pamięć-moc pozagrobowa" — mówi Wierzyński o tych dwu funkcjach samowiedzy historycznej. I wierzy, że choć zawiodło nas wszystko, "nie zdoła nas za-

wieść polska pamięć i długie pokoleń wspomnienia". W ten sposób perspektywa głębna przedłuża się w przyszłość. Poezja pamięci staje się poezją prorokującą.

Wiąże się z tem głębokie przeświadczenie o wadze i sensie słowa — mimo i na przekór zaprzeczającej mu rzeczywistości. Słowo wraca w pokorze i dumie do swojej najistotniejszej roli: staje się lirycznym zapisem losu zbiorowego.

Jest to zapis niezmiernie czuły, niezmiernie przeżyjny. Wiersze pisane w latach 1942—1945, od pamiętnej

tego ich zbioru. Zaczyna się on w tonacji osobistej, ale w miarę upływu czasu, w miarę pomnażania się ciężaru doświadczeń ogólnych, przybiera na tonach pozaosobistych, na czuciu kategorjami zbiorowości.

Nikt tak nie przeżył, nie zespolił się z antyczną tragedją Warszawy, jak ten poeta rodem z dalekich kresów. Nikt nie wystawił takiego pomnika sponiewieranej polskości A. K., jak ten poeta-emigrant. W Polsce bierutowskiej, rozprawiając się z "wiernością" Conrada, usiłowano też rozprawić się z wiernością Polski pod-



Kazimierz Wierzyński

"Ziemni wilczycy" i "Róży wiatrów" po tragiczne wydarzenia minionego roku, zamykają pełny cykl polski, pełne koło udręki: walki i ofiary, zawiedzione nadziei i niezasażonej krzywdy, bólu i determinacji, rozpacz i woli trwania. Im bliżej kresu, im bliżej końca cyklu, tem liyczna gotowość, uczuciowe zbratanie z losem ogólnym jest żywsze, pełniejsze, bardziej ofiarne, jakby bardziej szczegółowe.

"Krzyże i miecze" przedstawiają niby peiperowski "układ rozkwitający", zastosowany nie do kompozycji jednego wiersza, ale do kompozycji ca-

ziemnej, Wierzyński po conradowsku wymierza poetycką sprawiedliwość jej przegranej sprawie. I to jest aspekt moralistyczny jego poezji.

Czemuś aż zadziwiającem wydaje się równowaga tej książki, bolesnej jak polskość, ciemnej jak nasz czas: równowaga między życiem wewnętrznym, osobistym a odczuwaniem pozaosobistym, między mistyczną wiarą w misję poezji a komunją, porozumieniem się ze zbiorowością, podłożeniem siebie pod los zespołu ludzkiego, do którego się należy. Wyrównanie romantycznej sprzeczności między jednostką twórczą i światem — to jest istotny

*) Kazimierz Wierzyński. *Krzyże i miecze*. Nowy Jork, Biblioteka Polska, 1946; str. 118. — *Toż. Londyn, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, 1946; str. 79 i 1nl.*

aspekt społeczny poezji Wierzyńskiego.

Cała potworność doli polskiej ukazuje się w "Krzyżach i mieczach" nie tylko w perspektywie głębokiej, w perspektywie historycznej. Pada na nią też światło z góry, światło rozoznania religijnego. Zawiera się w tem jeszcze jedno podobieństwo z "Księgami pielgrzymstwa". Tam parabola, przypowieść ewangeliczna o toku biblijnym, tu litania i psalm stanowi medium, sposób wyrażania przeżyć uczuciowych. Ta poezja psalmodyczna, litanijna, pełna refrenowych nawro-

tów, nieraz wprost przybiera formę kościelnej sekwencji ("Do moich zmarłych"), to formę antyfony ("Nabożeństwo w katedrze nowojorskiej"), by wyrazić napierające uczucia, by wyzwolić się od ucisku doznań. Ale jej aspekt religijny nie wyczerpuje się na samych tylko zapożyczeniach kształtu poetyckiego.

Kilka lat temu, pisząc o "Ziemii wilczycej", określiłem postawę Wierzyńskiego mianem chrześcijańskiego stoicyzmu. Nie potrafiłbym dziś zaproponować innego określenia. "Krzyże i miecze" wypełniają je nowym mate-

riałem, i na tej podstawie pozwalają je ściślej sprecyzować. Stoicyzm Wierzyńskiego jest reakcją energii moralnej w obliczu fatalizmu świata i fatalizmu historii, jest odporem instancji duchowych na przemoc materialności, instancji trwałych, wiekustych na zmienne konjunktury, na przelotne koleje losu. Wyraża to wszystko strofa:

*...wyjść nad rozpacz, wszystkie rany,
Nad ziemski czas i ruch zegara
I czytać z wieków los wybrany,
Polski cyrograf niepisany,
Ze śmierci nie wieczna. Wieczna—
wiara.*

Wiara jest jedną dźwignią tej postawy. Drugą stanowi ostre, stałe poczucie wolności, poczucie, że wolność jest wewnątrz, nie na zewnątrz człowieka, że jest aktem woli, nie aktem nadania, faktem biologji, nie faktem polityki. Afirmacja wolności i afirmacja siły, tkwiącej w wolności, prześwieśla poezję "Krzyżów i mieczy", promieniuje z niej tajemnie. Ona czyni z książki o krzywdzie i klęsce — książkę dumy i moralnej nieugiętości.

Z tą postawą jest związana koniecznie, jakby organicznie zrosnięta forma, o której można by powiedzieć: forma-swiatło, ład, prawo. Otaczającej ciemności, bezładowi uczuć, podeptaniu porządku, przeciwstawia ona uśmiętnioną dążność do jasnego, precyzyjnego wyrazu, surową, precyzyjną stroficzność, przywodzącą na pamięć ściśle zamknięte stany hymnów kościelnych, hymnów rycerzy krzyżowych. Ta poezja czystego profilu, zdyscyplinowana, rygorystyczna, wydaje się przez to zwycięstwem moralnym, opianowaniem schauotzowanego świata przez sztukę, przez artyzm.

W "Księgach pielgrzymstwa" kształt artystyczny był czemś jakby ubocznym, mimowolnym. W "Krzyżach i mieczach" formowanie artystyczne jest czemś istotnym, świadomym, przeprowadzanem usilnie, czemś aż boleśnie natężonym, nieraz nawet aż wysiłonym. Warto podkreślić ten aspekt. Poezja, zrodzona na dnie nieszczęścia, dobywająca się z dna rozgromu, nie przestaje być z istoty swojej, ambicji i woli — kulturalna.

W sumie: ostatni tom Wierzyńskiego jest próbą lirycznego odporu na klęskę. Jest podjęciem ciężaru wspólnych przeznaczeń. Jest serdecznym obrachunkiem i wymierzeniem nam sprawiedliwości w świecie moralnym. Jest mobilizacją tych sił i walorów, które nie pozwalają padać ludziom, narodom i kulturom. Jest poezją samorealizującą z kryzysu.

Przez to wszystko stanowi pierwsze wielkie dzieło emigracji politycznej. I przez nią dzieło narodu, który się nie poddał i nie podda nigdy.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

B R Z O Z A

*Poco przechodzi tędy, staje,
Patrzy na pień mój, na pochyłość
Ten śmieszny człowiek, co inaczej
Nie mówi na mnie tylko: miłość.*

*Ten śmieszny człowiek, co na liście,
Na każde wiatru poruszenie,
Na szum, gdy szumię gałęziami,
Wciąż odpowiada mi: wspomnienie.*

*Na rozplecione włosy szepce,
Gdy się uginam przeciążona,
Niezrozumiałe jakieś nazwy
I różne daje mi imiona.*

*Jestem więc Ewa i Agata
I wdowa po kimś i dziewczyna
I ta co chodzi z nim najczęściej
Prościutka smukłość, Katarzyna.*

*I potem jakieś miasta, kraje,
Podgórskie rzeki i jeziora,
A ja w tem miejscu, gdzie on mieszka,
Od rana stoję do wieczora.*

*A ja w ogrodzie, przy ulicy,
Której ominąć on nie może,
Wszystko to słyszę, zapisuję
Na białych kartach mych, na korze.*

*I kiedyś, gdy on przejdzie tędy
I już się za mną nie obróci,
Przeczytałem wszystko to, co było
I z nim minęło i nie wróci.*

*I każdy przyzna, że coś więcej,
Niż mój szum, liście i pochyłość,
Wielbił ten śmieszny człowiek, który
Nie znał spokoju. Tak jak miłość.*

ROMUALD GANTKOWSKI

(Copyright 1946.)

NEUTRALNOŚĆ

(SATYRYCZNY SKECZ SCENICZNY WEDŁUG NOWELKI W. PERZYŃSKIEGO)

Dekoracja sceny: — Skrzyżowanie dwóch uliczek podmiejskich. Na froncie sceny przy chodniku stoi latarnia uliczna. Po prawej stronie sceny nieco w głębi brama wejściowa do domu z małą wnęką.

Ciemna noc. Jedyna latarnia na froncie sceny rzuca snop światła — tak, że widać wnękę wspomnianej bramy jednego z domów. Po podniesieniu kurtyny — przez dobrą chwilę scena zupełnie pusta — poczem z prawej strony idzie chodnikiem powracająca do domu elegancki dżentelmen. Ubrany wieczorowo we fraku, w czarnym płaszczu, w białym szaliku i cylindrze, z laseczką w ręku. Kiedy przechodzi minął bramę i jest już blisko latarni — wypadła z wnęki bramy opryszek i obezwładnia go chwytem z tyłu. Jednocześnie wybiega z lewej strony sceny drugi bandyta i knebluje usta przechodniowi. Bandydzi gorączkowo obszukują kieszenie napadniętego. Wszystko to dzieje się błyskawicznie, w zupełnym milczeniu — słychać tylko ciężkie, urywane oddechy ludzkie. Prawie równocześnie ukazuje się również z prawej strony sceny drugi spóźniony przechodzień też w cylindrze, płaszczu czarnym, w białym szaliku i z laską w ręku. Walczący go nie widzą — widzi go natomiast widzownia teatru. Drugi pan we fraku nie spieszy bynajmniej napadniętemu z pomocą — chowa się natomiast do bramy i przypatruje się napadowi. Pierwszy pan we fraku — oszołomiony zrazu i zaskoczony napaścią — wyrывa się nagle zręcznym ruchem wysportowanego mężczyzny z rąk bandytów i atakuje po bokserku opryszków. Zaczyna się zacięta walka. Znowu bez słów. Drugi pan we fraku — w dalszym ciągu niezauważony przez walczących — przygląda się z coraz większym zainteresowaniem walce. Napadnięty knockautuje jednego z bandytów, ale z drugim ciężka walka toczy się dalej. Drugi pan we fraku z całkowitym spokojem i drwiącym uśmiechem przygląda się. Wreszcie i drugi bandyta zostaje przez napadniętego powalony. Bandydzi kulejąc uciekają. Ofiara napadu, dysząc ciężko, prostuje się, i podszedłszy pod samą latarnię usiłuje doprowadzić oplakany stan swojej garderoby do porządku.

W tym momencie wybiega z bramy drugi pan we fraku promiennie uśmiechnięty i podnosząc cylinder i laskę napadniętego mówi do niego pełnym troski głosem:

— Czy aby się panu coś nie stało? Widziałem pańską bohaterską walkę. Wspaniale, wspaniale! Ale czy pana tylko nie poranili? —

— Nie, nie — nic mi się nie stało. Dziękuję panu bardzo za troskliwość!

— Pozwoli pan, że panu pomogę... (tu drugi pan we fraku troskliwie czyści napadniętego, obciąża na nim płaszcz etc.)

— O, dziękuję panu bardzo serdecznie. Pan naprawdę bardzo uprzejmy. Ale niechże się pan nie fatyguje!

— Niema mowy o żadnej fatydze! Trzeba przecież pomóc bliźniemu w potrzebie! A pieniędzy panu, broń Boże, nie zabrali?

Napadnięty, wyciągając portfel:

— Nie, na szczęście nie zdążyli. Tylko trochę drobnych wypadło mi z kieszeni palt...

Drugi pan schyla się skwapliwie w poszukiwaniu drobnych.

Pierwszy pan we fraku:

— Niechcesz się pan nie trudzić. To drobiazg! Najważniejsze (wyciągając portfel), że moich dwieście dolarów ocalało! Ale pozwoli Pan, że raz jeszcze podziękuję panu za jego uprzejmość. No i... że się przedstawię. Jestem X. (uchyla cylindra).

— Drugi pan we fraku z niemniej uprzejmym ukłonem:

— Jestem Y. Bardzo mi przyjemnie. Cieszę się, że się panu nic nie stało. Może pan pozwoli papierosa? (częstuje go — tamten przyjmuje — drugi pan usłużnie podaje ognia — wzajemnie ceregielowanie się przy zapalaniu).

Po chwili drugi pan we fraku zwraca się z czarującym uśmiechem do pana X.:

— A teraz, kiedy się już znamy o sobiście — czy byłby pan łaskaw, czy nie uważałby pan za stosowne — podzielić się swoimi dwustu dolarami ze mną?!

Pan X. naprawdę zaskoczony:

— Jakto... nie rozumiem... podzielić się? (z wymuszonym uśmiechem) Pan chyba... żartuje... Eh, to niestosowna chwila na żarty!

Pan Y. z ujmującym uśmiechem:

— Nie panie — ja wcale nie żartuję. Zresztą należy mi się conajmniej połowa pańskich pieniędzy. Mam nawet do nich prawo!

Pan X. coraz bardziej zdumiony:

— Prawo? Jakto? Prawo??

Pan Y. zawsze z uśmiechem:

— Tak, prawo. Nadszedłem bowiem właśnie w tym momencie, kiedy pana bandyci napadli. Stałem sobie w tej oto bramie i przypatrywałem się walce. Niema pan chyba najmniejszej wątpliwości, że gdybym był wziął udział w walce po stronie bandytów — to we trzech byliibyśmy pana pobili. Uratowałem więc panu nie tylko pieniądze ale może i życie!

Pan X. oszołomiony:

— Tak.. nie mogę panu odmówić logiki w rozumowaniu, ale...

Pan Y. uśmiechając się coraz uprzejmiej:

— Niema żadnego ale. Czy pan da mi teraz sto dolarów? Pragnę też zwrócić uwagę na pewien mały a ważny szczegół: że mam na poparcie mojej przyjaznej propozycji ten oto błyszczący drobiazg! (pokazuje panu X. mały rewolwer).

Pierwszy pan we fraku w zupełnej konsternacji wyjmując ociągając się portfel i niechętnie wręcza panu Y. sto dolarów. Nie może jednak powstrzymać złości i wybuchu wściekłości:

— A jednak... to gwałt, to jest ordynarna napaść, rabunek na równej drodze! Pan się niezam nie różni od tych opryszków! To bezczelność! To szantaż! To złodziejstwo!!

Drugi pan we fraku zimno z nieopuszczającym go uśmiechem:

— Fe, co za słowa brzydkie. I co za przedpotopowe pojęcia! To przestarzałe. To się tak dawniej mówiło, to nie na dzisiejsze czasy! Żyjemy przecież w XX wieku. Postęp, cywilizacja, kultura! Widzi pan — wszystko, zależy od tego, jak co nazwiemy. Gdybym był stanął po stronie bandytów — byłaby to zbrojna interwencja po stronie silniejszego! A mój brak interwencji — to była w stosunku do pana... życziwa neutralność! (Poklepując pana X. dobrotliwie po ramieniu): niech się pan uspokoi i niech pan to sobie dobrze zapamięta: neutralność!

Tu drugi pan we fraku kłania się panu X. uprzejmie i odchodzi uśmiechnięty, wymachując laseczką. Pierwszy pan we fraku machinalnie oddaje ukłon, poczem zupełnie ogłupiały wrzusa ramionami bezradnie i mruczy do siebie:

— neutralność...

Kurtyna spada.

ERNEST REISS

INDELE I MENDELE

Jest piosenka Niewiadomskiego o Indele i Mendele: że "Indele ma cudne rączki, rączki jak lilje dwie, Mendele chciałby je tulić — Indele mówi 'nie!'" — że ma oczy jak gwiazdy, usta jak wiśnie, i kiedy Mendele chce patrzeć, całować, "Indele mówi 'nie!'" — "bo Indele Mendele kocha, a Mendele Indele — nie!"

Znałem Indele. Nie była to ta sama, ale rączki i usta i oczy, miała takie, jak w piosence. Tylko w jej oczach — tak wszyscy mówili — był obłęd.

Pamiętam ją z dzieciństwa. Była kilka lat starsza, wydawała się wtedy dorosła. Nazywała się — prawie to naturalne — Szapiro. Kupowało się u niej, u jej ojca, Żyda z ryżowiehciową brodą, zapałki, Milkę, szwarc, gwoździe, cukier, powidła, sznurowadła, mydło, zeszyty i — mąski... (starsi mówili, że cuchną "karukiem", dla dzieci miały zapach Mikołajów, bajki, śnieżnych wieczorów). U wejścia, po wydeptanych, stromych kamiennych schodkach, po naciśnięciu ochwierutanej klamki, wiało ciepłem, rolmopsami, kiszoną kapustą, ogórkami w beczce, cykorją i — dziecięcym pożądaniem.

Na paczce z wiązkami drzewa, aromatycznego jak wszystko u Szapiry, widziało się rozkraczone czerwone portki huzara, w ulance na bakier, czekającego na naszą Nastkę, "Sofi" od sąsiadów, Zdenkę od kapitana z drugiego piętra, "ożarciucha" z czerwonym nosem.

Moses Szapiro zawsze był milczący. Nachylał się nad ladą, wąską, obitą błyszczącą blachą, naprzód wyciągał zsiniałą o każdej porze roku rękę, brał miedzaki, a potem bełkotał: "A kawalir czego, he?" — Indele stała obok, gapiała się nieprzytomnie, i

szła po puszkę z nadziewanymi bonbonami, czekoladę, rodzynki; związała szarą tytkę, ważyła ostrożnie, sennie. Potem znowu stawała przy ojc, czekała.

Na Szapirę patrzyli z ciekawością i obawą. Przeżywał dramat. Indele była przy nim w sklepie od niedawna. Zajął miejsce starszej, Chany. Nie było jej już, uciekła (takie to wtedy było częste!) — do Ameryki. Pojechała z Goldbergiem, "sanitetem", dezzerterem pułku ułanów. Była sensacja dla wszystkich. Żeru starczyło na długo. Szapiro przygarbił się, ale miał większy "ruch w interesie": przychodzili zobaczyć. — Czekala Szapirę jeszcze jedna tragedia, jeszcze lwie! Ale nie wiedział o tem w spokojnych czasach równych, tych samych dni. Dramaty Szapiry były rozpisane na lata.

Indele już nie chodziła do szkoły, zawsze była w sklepie. Wieczorem stała bardziej zahypnotyzowana, wpatrzona w oszklone drzwi, oblepione dyndającymi batogami, świecami, rzemieniami, gwizdkami. Indele czekała na swego — Mendele.

Dla nikogo to nie było tajemnicą, dla jednego tylko Szapiry. Indele czekała na Wasonia, młodego stolarza z płową głową. Wstępował po kilka papierosów, zawiniętych rozdrzganymi palcami Indele, w skrawek gazety, i żeby popatrzeć na warjatkę, co się w nim durzy.

Indela, Wasoni, Goldberg, i wszystko tamto, uleciało mi z myśli z nastalymi zdarzeniami. Czasem, czasem tylko, sklejało się na bajkę dawności, na pytania — "pamiętasz?"

Będzie mowa o spotkaniu. Może kiedyindziej byłoby "dziwne", "niewiarygodne", "niesłychane", "niesamowite", lecz w naszych czasach, kiedy bracia odnajdywali się czatując jeden przy drugim w tropikalnych dżunglach, kiedy matka rozpoznawała syna na szlaku śmierci, wśród pustynnych piachów, dzisiaj, kiedy na obcych łądach, wśród nieswojej mowy słyszeli swój język, i okrzyk, i widzieli szukaną, drogą twarz — dziś spotkanie Indele jest powszednim znakiem na nieodgadłych naszych drogach.

Po dziesiątkach lat trafiłem na ślad Indele tu, tutaj, w Ameryce. Zwiastował mi to dzwonek telefonu i głos po polsku: "Czy wiesz, że był u mnie ktoś z twojego miasta? Starsza Żydówka przyszła po radę. Nie mówi po angielsku, chce się dowiedzieć, czy żyje jej ojciec... podobno — mówiła — wszystkich stamtąd wywieźli, wielu zabili".

Z mojego miasta! Z "miasta", gdzie był brudny rynek, wały, staw, "Sokół", wieża kościoła, starostwo, koszar i w zimie śniegi po pas, w lecie kurzawa, wiosną i jesienią błoto, zalewające od brzegu do brzegu uliczki, weiskające się do nędznych domów i niewielu piętrowych kamienic.

Nawet na myśl mi nie przyszła Indele, ale nie mogłem nie pójść na North End, zamieszkały przez Litwistów, Polaków, Rosjan, Żydów, aby odzukać sklep Maxa Goldberga.

Zapytałem o Miss "Shapiro". Czy jest, czy można z nią mówić. Wykrzywiona zdawkowym uśmiechem twarz kupcowej, zmieniła się w maskę przeżenienia: "Oj, sz! kant spik inglisz! Oj, sz! dziast kils det lenghidz! Ha! vil ju anderstent her?" — co znaczyło: "z nią nie można mówić po angielsku!"

Między dwiema szafami, wejściem do prywatnych pomieszczeń Mr. and Mrs. Max Goldberg, stała Indele. Rozumiała: szło o nią. Na polski "dzień dobry", twarz Indele pojaśniała, ukazały się białe, pamiętane zęby, tak białe, aż kłójące się z postarzałymi rysami. A mimo nich, Indele się nie zmieniła, była nadal dziewczęco senna, ze sklepiku Szapiry.

* * *

Siedzieliśmy w letnie, słoneczne rano na ławce pobliskiego skweru, owianej atmosferą amerykańskiego miasta, zapachami benzyny, smarów, przejechanych skunksów, jarzyn, skropionych ulic. Chociaż ludzie w tej dzielnicy przywykli do obcych słów, kierowali w naszą stronę zdziwione oczy: Indele mówiła głośno, krzykliwie. W podnieceniu szarpała polskie zdania na jeden po drugim wykrzyknik.

— Pan mnie znasz! pan znałeś nasz sklep! pan znałeś mojego ojca! ja pa-

Piękne, artystycznie wykonane,
wielokolorowe

Kartki Świąteczne

MALARZY POLSKICH

S. CHROSTOWSKIEGO

I. LORENTOWICZ

Z. STRYJEŃSKIEJ

i M. WERTEN

do nabycia w

"TYGODNIKU POLSKIM"
157 East 64 St., New York City

Komplet 15 kartek \$1.50

Zamawiajcie natychmiast!

ZBIÓR WIERSZY

A. JANTY

"WIDZENIE WIARY"

Cena \$2.50

Do Nabycia w

"BIBLJOTECE POLSKIEJ"

157 East 64 St., New York City

nu sprzedawała cukierki! Jak to możliwe! jak to możliwe? pan mnie znalazłeś tutaj! tak daleko, tak dawno! tak dawno! — — moja historia? moja historia! historia! historia!

Oto historia Indele:

Jeszcze śniegi leżały w miasteczku. Ludzie szeptali coraz częściej o wojnie. Będzie w lecie, będzie napewno. Stary Szapiro od tygodni leżał w gorączce. Miał umrzeć co wieczór, co noc. W jeden ze zmierzchów, przyszedł do sklepu Wasoń. Nie po papierosy! Tym razem powiedział: „Indelka! trzeba mi pieniędzy, dużo pieniędzy! Jak dasz, wezmę cię do Ameryki”. — Nieprzespane noce i Indele zabrała ojcu plik papierków, niebieskich, zielonych, fioletowych — „jak stała”, poszła za Wasoniem. Kochała go. Stary Szapiro umierał.

Summerville. Ameryka. Obcy ludzie, jedni tylko znani, z adresu Wasonia. Wyśmieli. Żydówka! Na wiarę z obcą. Wyśmieli i inni, odwrócili się Żydzi: z gojem? z gojem? Więc wędrowali i wszędzie było to samo; tam gdzie byli Polacy i tam gdzie byli Żydzi. A byli wszędzie. Osiedli tutaj, tamoj, na miesiąc, na tydzień, na rok. Dziecko umarło. Bękart. Lata mijały w biedzie z dnia na dzień. Ale Wasoń, nie można powiedzieć, był dobry. Im ludzie byli gor-

si, tem lepszy był Wasoń. Może i kochał (czasem Indele tak myślała).

Mieszkali na poddaszu, Wasoń nie robił, nosił paczki. W jesienny wieczór na ulicach grała muzyka. Wojna się skończyła! Wasoń przeczytał: „Polska będzie wolna”. I, tak jak Indele od ojca, tak Wasoń znikł na zawsze, wrócił do swego domu. Indele została sama. Ukorzyła się przed siostrą, ona, najwyrodniejsza z córek,

Indele. Nie przebaczyli. Nie przebaczył ojciec. Pisała, aby czekać daremnie. Dowiadywała się i dowiedziała: Wasoń żył w tym samym, pochyłym, zbutwiałym domu. Żydzi odgrazali się, wołali policję — nic mu nie było. Przyzwyczaili się. Obcy i swoi. Zapomnieli. Nie zapomniała tylko Indele.

Doczekała się drugiej wojny i strasznych wieści ze swego miasteczka. Wtedy poszła do „ofisu, gdzie poradę dają, takim co po angielsku nie potrafią”.

* * *

Po latach przyszedł raport: „Policja niemiecka znalazła w domu przy ulicy Stromej 5, wtedy zwanej Horst Wessel Strasse, w mieszkaniu 50 lat liczącego stolarza, Wasonia Jana, ukrywającego się Szapirę Mosesa, lat 75, kupca z zawodu. Dochodzenia wykazały, że Szapiro ukrywał się u rodziny Wasoniów od dwóch lat. Hitlerowcy na miejscu stracili Wasonia, jego żonę i dwoje nieletnich dzieci, pobitego Szapirę zabrali do dalszego badania. Według wiarygodnych informacji, Szapiro podczas tych badań zakończył życie”.

Nie widziałem Indele, czytającej ten raport. Opowiadali mi o tem; opowiadali, że poprzez rozpacz, była w Indele дума: Wasoń, jej Wasoń, zginął za jej ojca.

W POPRZEDNIM 45 (202) NUMERZE „TYGODNIKA POLSKIEGO”

Ludwik Berger: Niepowodzenia polityki zagranicznej sowieckiego patriarchatu w Moskwie; Stan. L. Centkiewicz: Wspomnienie o Zygmuncie Stojowskim; Marja Morozowicz-Szczepkowska: Wrzesień 1939; Kazimierz Wierzyński: Pociąg na Long Island; Artur Oppman: Stara gitara z wstążką różową; Zofia Kossak: Przebudzenie olbrzyma; Jerzy Andrzejewski: Powrót; Franciszek J. Wazeter: Rozmowy z Polonią; Tydzień polityczny; Kronika polsko-amerykańska; Opinie i zdarzenia.

Z ARCYDZIEŁ MALARSTWA POLSKIEGO



U PROMU

Jan Konopacki (1856-1894)

FRANCISZEK J. WAZETER

ROZMOWY Z POLONJĄ

Kto we wtorek albo w środę zeszłego tygodnia dostał bilet na zebranie Organizacji Zjednoczonych Narodów w Lake Success na Long Island, ten nie zapomni nigdy tego dziwnego widowiska. Niewiadomo jak je nazwać: ponurą komedią czy tragiczną farsą. W każdym razie jedno jest pewne, a mianowicie, że najbardziej wybujała fantazja pisarska nie potrafiłaby stworzyć widowiska z taką sumą obłudy oszukańczego kłamstwa i cynizmu i... bezczelności.

Bo wyobraźcie sobie tylko drodzy czytelnicy: na porządku dziennym obrad w Lake Success znajduje się wniosek Unji Południowo-Afrykańskiej by Organizacja Zjednoczonych Narodów uznała i zatwierdziła przyłączenie do Unji obszaru Afryki Południowo-zachodniej, zamieszkałego przez trzysta tysięcy murzyńskiej ludności. Wyraźnie mówimy nie aneksji lecz przyłączenia na podstawie wyrażonej w plebiscycie woli mieszkańców tego obszaru.

I cóż się dzieje? W dyskusji jeden po drugim zabierają głos delegaci Rosji, Ukrainy, Białej Rusi no i... Warszawy. Słuchamy z początku cierpliwie pierwszej z tych mów, ale już po chwili widzimy jak obecni na sali zaczynają spoglądać ku sobie z wyrazem najpierw zaskoczenia, później bezgranicznego zdumienia, a wreszcie opuszczają głowy jak gdyby z tępa rezygnacją. Bo oto przedstawiciele najstraszniejszej tyranji i systemu okrutnych gwałtów wielkiego ponurego więzienia narodów i ludzi, prześcigają się by bronić wolności murzynów przeciw uciskowi Unji Południowo-Afrykańskiej! Ludzie, reprezentujący państwo, zbudowane na terrorze, niewolniczej pracy i obłędnym strachu w roli kaznodziejów wolności myśli, sumienia i czynów, kaznodziejów piętnujących w najostrzejszych słowach demokratyczną i liberalną Unję Południowo-Afrykańską.

Unję Południowo-Afrykańską? — Nietylko. Mamy przed sobą numer sowieckiego pisma "Nowe Czasy" wydawanego w Moskwie, aż w czterech językach. Czytamy w tem piśmie artykuł pod tytułem: "Kolonje Stanów Zjednoczonych"!

Co, u djaska za "kolonje"? Przecież Stany Zjednoczone nie mają żadnych kolonji...

Tak Tobie się zdaje drogi rodaku, ponieważ jesteś zakutym "faszystą" i "reakcjonistą" i "niewolnikiem plutokracji". Ale w Moskwie wiedzą lepiej. Wspomniane pismo moskiewskie twierdzi, że Stany Zjednoczone są

"potęgą kolonialną," i w "okrutny sposób" gnębią ludność swych kolonji, to znaczy Filipin i Portorico. Tylko Rosja Sowiecka jako jedyne państwo "prawdziwie demokratyczne" staje w obronie tak strasznie przez Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone uciskanych ludów i walczy o przyznanie praw — Karty Atlantyckiej i Czterech Wolności.

Powiesz drogi czytelniku, że jedyną reakcją w tym wypadku może być tylko głośny, nie serdeczny wprawdzie, lecz makabryczny śmiech. Tak byłoby istotnie, gdyby sprawa nie zawierała w sobie, równocześnie tak wiele nader tragicznej treści.

Bo tu nie chodzi już o komedię odgrywaną przez przedstawicieli totalistycznej tyranji sowieckiej. Toć, to nie są żadne rewelacje. Już Lenin uczył zupełnie jawnie, że w realizowaniu swych celów, komunista ma pełne prawo do uciekania się do "wszystkich kłamstw, podstępów i oszustw". Widowisko w Lake Success jest także jednym z takich na wielką skalę wyreżyserowanych oszustw.

Istota rzeczy tkwi gdzieindziej, mianowicie w zachowaniu się dyplomacji i rządów państw demokracji zachodniej ze Stanami Zjednoczonymi na czele!

Prasa całego świata drukuje uroczyste tyrady moskiewskich totalistów w obronie ludów kolorowych, ale za okrutnie gnębionymi i systematycznie niszczeniemi przez tyranję sowiecką narodami europejskimi nikt się nie ujmie.

W Polsce każdy dzień mnoży akty bezprawia, gwałtów, skrytobójstw politycznych, działacze polityczni giną w "tajemniczych okolicznościach", obywatele nie mają nawet prawa skarżyć, ale... dyplomacja Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanji milczy.

Bierut, ośmielony słabością polityki demokratycznych mocarstw otwarcie zapowiada, że nie będzie wolnych wyborów, a opozycja zostanie zniszczona wszelkimi "środkami siły". A dypl-

maci amerykańscy i brytyjscy nie reagują ani słowem.

Marjonetki sowieckie w Warszawie nie kręprją się już żadnymi względami, "likwidują" resztki niepodległości polskiej, a Waszyngton i Londyn trwają w niezamąconym spokoju. Pan Byrnes w ciągu ostatnich tygodni raz tylko odezwał się w sprawie polskiej, żądając rewizji granic zachodnich Polski na korzyść Niemiec, a administracja nasza w Niemczech nie zna ważniejszych zadań nad wywieranie nacisku na polskich wysiedleńców, by wracali do Polski pod rządy czerezwyczejki...

Powiedzmy sobie otwarcie, drodzy rodacy, że te wszystkie fakty nie są przypadkowe, lecz, że mamy obecnie do czynienia ze zjawiskiem nader groźnym z nową falą apeasementu mocarstw zachodnich w stosunku do sowieckiego totalizmu!

Nie będziemy w tej chwili analizowali przyczyn tego zjawiska, bo to nie jest najważniejsze. Tem zajmą się w przyszłości historycy. Dla nas jednak nader istotną jest rzeczą, byśmy uświadomili sobie, że po krótkim okresie otrzeźwienia i silniejszego nieco kursu, dyplomacja nasza znowu powróciła na bezdroża bądź ustępstw wobec totalizmu, bądź bezczynności, a przeto mileżącej zgody na gwałty sowieckie.

Jak powiedziałem nie naszą jest rzeczą dochodzić źródeł tego zjawiska. Ale naszym nietylko prawem, lecz i świętym obowiązkiem jest bronić przyszłości i bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, bronić demokracji, bronić praw umęczonego kraju naszych Ojców—Polski. Skoro zaś nowa fala apeasementu stanowi śmiertelną groźbę dla tych wartości, ponad wszystko dla nas drogie, nie możemy dziś zamykać oczu, chować głowy w piasek i bezczynnie czekać!

Krótko mówiąc drodzy Rodacy, trzeba nam znowu stanąć do walki! Złowieszże znaki w polityce międzynarodowej nakazują bezzwłocznie przystąpić do nowej wielkiej kampanji o święte i niepozbywalne prawa narodu polskiego. Wybór najbardziej skutecznych środków należy do przywódców zorganizowanych w Kongresie Polonji Amerykańskiej — Amerykanów pochodzenia polskiego.

Sądzę, że już w najbliższych artykułach będę mógł was dokładnie poinformować, jakie decyzje w tej niecierpiącej zwłoki sprawie zapady w marodajnych kołach Kongresu Polonji Amerykańskiej.

PROSIMY
ODNOWIĆ
PRENUMERATĘ

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Konferencja ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Czwórki wciąż się kręci około kwestji statutu Triestu, jak kot koło gorącego, nie osiągnawszy w tej sprawie, w trzecim tygodniu obrad, żadnego wyniku ważniejszego. Przez prawie cały tydzień spierano się, w szczególnie odosobnionych salonach hotelu Waldorf Astoria, o to, jaki ma być zakres uprawnień gubernatora Triestu, jaki ma być stosunek tegoż gubernatora do szefa policji, czy i kiedy gubernator może ogłosić stan nadzwyczajny i nakazywać szefowi policji działania, odpowiadające potrzebom położenia. Z pozoru, są to sprawy niedużego znaczenia, ale tylko z pozoru. Idzie bowiem tutaj o sprawę zduszenia ewentualnych zamachów stanu, zbrojnych demonstracji i t. p., jako środków obalenia skonstruowanego przez Wielką Czwórkę prawnego i politycznego stanu rzeczy na t. z. Wolnem Terytorjum Triestu. Podczas kiedy p. Byrnes i p. Bevin, popierani przez delegata Francji p. Couve de Murville, chcą zapewnić gubernatorowi triesteńskiemu szersze pełnomocnictwa, p. Mołotow dąży do tego, aby takie pełnomocnictwa ograniczyć, uzależnić częściowo od Rady Administracyjnej triesteńskiej, wyłonionej z wyborów, a tedy — według kalkulacji p. Mołotowa — uzależnionej również od frakcji pro-jugosłowiańskiej tej Rady Administracyjnej, częściowo zaś skrepić przez Radę Bezpieczeństwa UN, wewnątrz której ten czy inny Gromyko może oddziaływać na decyzje przy pomocy prawa weta. Ze długotrwałe obrady ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Czwórki w sprawie 14 poprawek, wniesionych przez p. Mołotowa do projektu statutu triesteńskiego są tylko kamuflażem, maskującym dalsze posunięcia sowieckie i jugosłowiańskie w tej kwestji, dowodzi oświadczenie p. Mołotowa, który na jednej z sesyj stwierdził, że kompromis i zgoda we wszystkich kwestiach spornych dają się łatwo osiągnąć, o ile p. Byrnes i p. Bevin zgodzą się na ustalenie 60, ewentualnie, 90 dniowego terminu opuszczenia przez bryto-amerykańskie oddziały wojskowe terytorjum Triestu, licząc od dnia podpisania układu pokojowego z Włochami. Oświadczenie takie p. Mołotowa można traktować jako przejaw sowieckiej chytrności dyplomatycznej albo też bezczelności. P. Mołotow, w gruncie rzeczy, lekceważy sobie wszystkie te stipulacje, wszystkie te spisywane na papierze artykuły i t. d.; widząc, że teraz nie da się zanektować Triestu w drodze negocjacyj, dąży p. Mołotow do takiego formalnego obstarwienia statutu Triestu, aby — po wy-

cofaniu jak najszybszym, wojsk alianckich ze spornego obszaru, ułatwić rządowi Tita najazd na Triest, czy to przy pomocy siły zbrojnej czy też puszczając w ruch pro-sowiecką piątą kolumnę, w Trieście zainstalowaną i wciąż zasilaną przez reżym titowski. Jest to wszystko widoczne i, stąd wynikają te spory, jakie okazują w toku obrad konferencyjnych p. Byrnes i wtórujący mu p. Bevin, obaj wierzący, że przy pomocy pisanych zastrzeżeń, formalnych gwarancyj, pod kontrolą bezsilnej Rady Bezpieczeństwa stworzy się jakiś trwały stan rzeczy na obszarze triesteńskim. Niedaleka przyszłość może okazać, że jest to jeszcze jedno niebezpieczne złudzenie dyplomacji anglo-saskiej.

Zanim p. Byrnes przystąpił do dyskutowania, we Waldorf Astorji, kwestji triesteńskiej, poczynił on gest pojednawczy wobec Rcsji Sowieckiej i Jugosławji, stwierdzając, że rząd Stanów Zjednoczonych polecił amerykańskiemu władzom okupacyjnym zwrócić paręset statków dunajowych: jugosłowiańskich, rumuńskich, węgierskich, bułgarskich i czechosłowackich, zajętych potąd przez władze okupacyjne amerykańskie, w Niemczech. Dla równowagi, niby, Mołotow jednocześnie oświadczył, że władze sowieckie zwróciły Rumunji, Bułgarji i Węgrom zidentyfikowaną własność tych krajów, potąd trzymaną i eksploatowaną przez sowieckie władze okupacyjne. Zwrot statków dunajowych przez Stany Zjednoczone został zrozumiany, może i słusznie, jako dowód kompromisowych tendencji amerykańskich w skomplikowanej sprawie Dunaju, podczas kiedy oświadczenie Mołotowa o zwrocie własności rumuńskiej, bułgarskiej i węgierskiej niema znaczenia żadnego, albowiem taki zwrot jest tylko przełożeniem z jednej kieszeni sowieckiej do kieszeni drugiej, zarówno bowiem w Rumunji jak i Bułgarji rządzą agenci sowieccy: Groza i Dimitrijew, zaś rząd węgierski duszony jest potąd mocną ręką okupacji sowieckiej, prawie bez żadnej kontroli alianckiej.

Wprawdzie, waszyngtoński Departament Stanu wciąż przesyła noty protestacyjne do rządów marjonetkowych bałkańskich; ostatnio taka nota protestacyjna została wysłana do Bukaresztu, domagając się gwarancyj w sprawie "wolnych i nieskrepo-

wanych" wyborów. Ale te wszystkie noty — wystarczy chyba wskazać no doświadczenie bułgarskie — są to miereze z tektury, których w stolicach bałkańskich, obsadzonych przez agentów sowieckich, poważnie się nie traktuje. Nawet wycofanie misji dyplomatycznej amerykańskiej z Albanji, nie wywarło potąd na Bałkanach wrażenia większego. Wierzą tam w potęgę Kremła, wzmacniani co dzień w tej wierze dowodami słabości i pewnej niezdarności dyplomacji anglosaskiej.

W ciągu tygodnia, na terenie Organizacji Narodów Zjednoczonych dyskusje i spory toczyły się głównie w komisjach, przyczem dominowały dwie kwestje główne, mianowicie: kwestja zorganizowania powiernictwa w rzeczach terytorjów mandatowych oraz sprawa hiszpańska. Co się tyczy zagadnienia powiernictwa, w toku dyskusyj, nieraz ostrych, wyszło sowieckie szydło z worka, to jest: Moskwa domaga się współudziału w kontrolowaniu możliwie jak największego obszaru mandatowego, zwłaszcza żąda takiego udziału o ile idzie o posiadłości mandatowe na Pacyfiku, rozszerzając swe, pod tym względem, żądanie na wszystkie insularne posiadłości japońskie, po za rdzennymi wyspami japońskimi. Takie żądanie uderza w Stany Zjednoczone, które niedwuznacznie zgłaszają swe prawa do wyłącznego faktycznego kontrolowania znacznego kompleksu wysp strategicznych na Pacyfiku, co właśnie najbardziej niepokoi Rosję Sowiecką. Dyskusja jest dopiero rozpoczęta i, w miarę jej rozwijania się, krzepnąć będzie antagonizm amerykańsko-sowiecki w tej sprawie. Co zaś dotyczy kwestji hiszpańskiej, wątpić nie można, że mocarstwa anglo-saskie będą się sprzeciwiać takim decyzjom UN, które mogą się przyczynić do wybuchu wojny domowej w Hiszpanji i do wzrostu wpływów komunistycznych w tym kraju.

Tragizm ogólnego położenia międzynarodowego, zwłaszcza na obszarze europejskim, pogłębia zamieszanie, panujące w wielu łacińskich krajach europejskich. Wzmocnienie, jak to wykazały wybory parlamentarne, wpływów komunistycznych we Francji, poniekąd międzynarodowo paraliżuje kraj ten, który normalnym biegiem rzeczy winien być trzonem odradzania się demokracji europejskiej. Jest to rezultat nie tylko chaosu gospodarczego, konfuzji politycznej, ale także jest to skutek wzrostu niewiary w potęgę Stanów Zjednoczonych, wzrostu wątpliwości, czy wielkie to mocarstwo zdolne jest na terenie międzynarodowym do działań twórczych i trwałych.

PAMIĘTAJ
O GŁODNYCH
W POLSCE

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

OTWARCIE ROKU W POLSKIM INSTYTUCIE NAUKOWYM

Nietylko pełna była ale przepelniona salka biblioteki wilsonowskiej na ulicy 65 na dorocznej uroczystości inauguracji Polskiego Instytutu Naukowego, który od czterech lat pełni świetnie naukową i patriotyczną służbę polską na ziemi amerykańskiej, reprezentując zarazem najwyższy poziom polskiej wiedzy i nieugiętą postawę niepodległościową. Dlatego wszyscy, którzy przywiązani są do prawdziwej, szlachetnej kultury polskiej, którzy nie idą na żadne jawne czy skryte kompromisy, podlizywania i flirty z waszyngtońską filją warszawskiej "meliny", przyszli tłumnie jak co roku na tę piękną uroczystość, aby jak zawsze zacerpnąć z niej otuchy i wyrazić wdzięczność nieugiętym bojownikom sprawy polskiej i świetnym senatorom naszej widzy: Janowi Kucharzewskiemu i Oskarcowi Haleckiemu. Tym razem mówiło dwóch dyplomatów: pierwszy minister Stanów Zjednoczonych w Warszawie, ambasador Hugh Gibson i pan Ciechanowski, przez wszystkich prawdziwych Polaków uznawany za prawdziwego naszego ambasadora w Stanach. Mowa ambasadora Gibsona była wspomnieniem dwóch pobytów w Warszawie — po ogłoszeniu niepodległości w r. 1918 i teraz w ruinach stolicy, po tej niepodległości utracie; napisana i powiedziana poprostu, od serca, z głębokim ludzkim wzruszeniem była pięknym dokumentem najlepszych amerykańskich tradycji humanitarnych i aktem wiernej przyjaźni. Ambasador Ciechanowski dał wykład w najlepszym tego słowa znaczeniu akademicki o historii "appeasementu" najpierw w stosunku do Niemców, później zaś do Rosji, o rozkładzie myśli i woli europejskiej od pokoju wersalskiego do Jałty, wykład przejrzysty, udokumentowany, pełen zbawiennych przypomnień i ostrzeżeń. Publiczności jak powiedzieliśmy, było więcej niż jej mogła pomieścić niewielka salka biblioteki wilsonowskiej — tem mniej możemy zrozumieć dlaczego duże, wygodne sale Fundacji Kościuszkowskiej nie postarały się o zaszczyt goszczenia choćby na ten dzień Instytutu. Słyszeliśmy wprowadzić takie zdania iż Instytut Naukowy ma charakter polityczny, który nie godzi się z apolitycznością Fundacji, ale nie wierzymy aby to tłumaczenie miało być używane przez jej kierowników. Instytut nie uprawia bowiem żadnej polityki, tylko broni kultury, prawa i wolności przed zalewem zbrodni i chamstwa. Robi więc to co powinien, co robiła Wielka Emigracja i co robią najlepsi Amerykanie. Natomiast

politykę i to bardzo nieamerykańską a z polskiego punktu widzenia bardzo brzydka, byłyby wszelkie bratania się z t. zw. nowymi władzami polskimi, których nikt porządny za władze polskie nie uważa. I jesteśmy pewni, że ci, co dają pieniądze na Fundację Kościuszkowską — dają je też na obronę kultury, na to samo, co robi właśnie Polski Instytut Naukowy.

ZJAZD KNAPP'a W NOWYM JORKU

W sobotę 16 i niedzielę 17 b. m. odbywał się w nowojorskim hotelu Woodstock przy W. 43 St. dwudniowy walny zjazd Komitetu Narodowego Amerykanów Pochodzenia Polskiego.

Prezesem Komitetu Narodowego Amerykanów Pochodzenia Polskiego wybrany został w miejsce dotychczasowego prezesa Fr. Januszewskiego, Henryk Kogut z Detroit. Wicepresami zostali wybrani: S. Łódzieski (Cleveland, O.), M. Kowalski (Rochester, N. Y.), W. Cytacki (Detroit), L. Kozłowski (Union City, N. J.), P. P. Flak (Springfield, Mass.). Kasjerem został A. S. Bielawski (Trenton, N. J.), sekretarką p. E. Szczawińska (N.Y.C.). W skład nowej komisji rewizyjnej wchodzi: L. Nowiński (Bayonne), A. Trawińska (Providence, R. I.) i K. Karczewski (Jersey City). Lista nowych dyrektorów: W. Cepek, F. Gregorek, E. Lorentz, Z. Łopacki, Zofja Schoen, S. Smietana, K. Kałucki, T. Nowicki, E. Jaworek, W. Chybowski, J. Gniazdowska, J. Wolłowicz, L. Kupferwasser, S. Urbaniak i J. Dodatko.

Nowoobрани prezes KNAPP'a p. Henryk Kogut z Detroit wygłosił prawie godzinne przemówienie programowe, w którym po zanalizowaniu położenia międzynarodowego Polski i stosunków krajowych, podkreślił mocno niezmiennie od początku cele organizacji, a mianowicie *głoszenie prawdy o Polsce wśród obcych i swoich*.

Hold pamięci Masymiljana F. Węgrzynka, zmarłego wydawcy "Nowego Świata", złożył b. min. Henryk Rajchman.

"Do ostatnich chwil swego życia śp. Węgrzynek bronił Polski przeciw wszystkim możliwym tego świata, nie wahając się otwarcie wystąpić wtedy, gdy czuł, że odstępują nie tylko od swych zobowiązań ale i od honoru". Równie gorąco słał p. H. Rajchman pamięć Ignacego Matuszewskiego, oświadczając, że będzie starać się by jego pisma polityczne stały się bardziej dostępne dla ogółu.

Jedną z ostatnich myśli zmarłego pisarza politycznego — oświadczył p. Rajchman — była koncepcja, by Polacy w Kraju oszczędzali w walce politycznej krew i tak już zbyt obficie przelaną podczas tej wojny i by Polonja Amerykańska została ten upust krwi odpowiednio wielką akcją polityczną zagranicą.

Powstaniem i minutą milczenia uczczono pamięć założyciela Komitetu Narodowego, śp. Maksymiljana Węgrzynka, oraz śp. Ignacego Matuszewskiego.

Prezes Wydziału Stanowego Kongresu, p. F. J. Wazeter, w swem przemówieniu nakreślił konieczność energicznych wystąpień na rzecz Polski, za co był wielokrotnie oklaskiwany.

Jako prezes Zrzeszenia Uchodźców Wojennych z Polski wygłosił przemówienie b. min. W. Korsak.

Jednogłośnie uchwalono trzy rezolucje: do Sekretarza Stanu Byrnes'a, do Narodu Polskiego oraz do rządu brytyjskiego.

Na zakończenie zjazdu odczytano depesze do Prezydenta Stanów Zjednoczonych Harry S. Trumana i do Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Raczkiewicza, przygotowane przez Komitet Rezolucji i przyjęte przez aklamację.

JEŻELI CHCECIE:

BY wysyłane przez Was paczki do rodzin w Europie szybko dochodziły

BYŚCIE otrzymali równie szybko potwierdzenie odbioru i podziękowanie.

BY paczki doszły w stanie nienaruszonym, odrutowane i ubezpieczone

Wysyłajcie je za pośrednictwem

AMERICAN RELIEF PARCEL COMP.

152 W. 103 STREET, N. Y. C.

Tel. RI 9-2204

Zwróćcie się natychmiast o cenniki i informacje.

OPINIE I ZDARZENIA

“OSKAR LANGE — POLISH QUISLING”

Prawda jaki to piękny i prosty tytuł? Pod tym tytułem pisze w “New Leader” w No. z dn. 8 listopada p. Sidney Rock, prezes Wydziału Filozoficznego New York University, bardzo ciekawe i pouczające rzeczy o przeszłości pana Langego, o tem jak ewoluował on od liberalnego socjalizmu do czerwonego faszyzmu, jak to kiedyś nazywał Stalina “potworem” gdy teraz pewno nazywa go “słoneczkiem ludów”. Artykuł nie można powiedzieć, “ozdobiony jest”, ale w każdym razie zilustrowany fotografiami pp. Langego, Osóbki i Stańczyka, pod którymi takie widnieją wymowne napisy:

“Lange privately calling Stalin a monster for killing Erlich and Alter”, “Osóbka-Morawski - ex-citizen of U. S. R. R.” i wreszcie najładniejszy: — “Stańczyk — Stalins Quisling”.

A mówili że to tylko polscy faszyści rozpowiadają nieprzyjemne rzeczy o panu Langem i o Stańczyku, tymczasem artykuł, o którym mówimy napisał prawdziwy Amerykanin i to nie żaden republikanin, nie żaden zamaskowany Vandenberg — tylko wielki specjalista od Marxa i jego apologeta. Czytajcie ten artykuł. Naprawdę warto. Bo to już zdawało się, że wiemy wszystko o panu Langem a okazuje się że jeszcze można się czegoś nowego o nim dowiedzieć.

ZACZYNA SIĘ MÓWIĆ O PAŃSTWACH BAŁTYCKICH

Jednym z dowodów że stosunek do Rosji uległ w opinii anglosaskiej zasadniczej zmianie i że zmiana ta polega nie tylko na decyzji opierania się dalszym agresjom ale obejmuje też dawne, zdawałoby się zapomniane już i pokwitowane zbrodnie i grabieże sowieckie — jest może niecałkiem przypadkowy zbieg wzmianek o państwach bałtyckich w mowach czołowych delegatów anglosaskich w UNO. Siarczysty i zadzierzasty staruch, marszałek Smuts, któremu Rosja chce przeszkodzić w przyłączeniu zachodnio południowej Afryki do jego naprawdę wolnego i demokratycznego państwa, wspomniał przejrzysto aneksję bałtyckich państw przez Sowiety, zaś pani Rooseveltowa, mówiąc o uchodźcach, którzy nie chcą wracać do swoich krajów, wymieniła napozór niewinnie właśnie Litwinów, Estończyków i Łotyszów, przypominając znowu w ten sposób ową, zdawałoby się przyszełą zbrodnię. Ponieważ Moskale uważali ową grabież niebywałą za niejako zatwierdzoną w milczeniu przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię

— więc wzmianki pani Rooseveltowej i marszałka Smutsa, którzy oboje nie są naiwnymi dziećmi — są dla Sowietów szczególnie dotkliwie i są ostrzeżeniem, że pewnego pięknego poranka będą oni być może musieli zabierać manatki nie tylko ze Lwowa i Wilna, ale również Tallina, Kowna i Rygi. Co daj Boże, Amen!

A STARY GRABSKI WCIAŻ BREDZI

Stary Grabski, niezrażony tem, że towarzysza jego wyprawy do Moskwy — Mikołajczyka, pozbawiły już Sowiety wszelkich złudzeń co do możliwości współpracy Polski ze Stalinem, i co więcej, pozbawiły parę tysięcy jego zwolenników wolności, a niektórych i życia, roi i bredzi po dawnemu różne sielankowe wizje na temat zarysowującej się jakoby pięknej przyszłości Polski i obiecuje brednie te wydać pod tytułem “Na nowej drodze dziejowej”, nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. Jest to gruby przesąd uważać, że wszyscy starcy są rozumni i cnotliwi i szanować z tego powodu każdą siwą brodę. Stary Grabski, który jak przysławio- wy Grabski w tańcu, spisywał się bardzo rozmaicie, to uczestnicząc w antyniepodległościowej socjaldemokracji, to po zajęciu Lwowa w r. 1915 ofiarując Moskałom honorowe szable, to wreszcie rwąc się do Moskwy, aby tam podpisać rozbiór Polski — należy do starców niewartych słuchania i godnych publicznej wzgardy. Czy ten osiemdziesięcioletni smarkacz naprawdę nie rozumie co się w Polsce dzieje, czy to, że sam ma na papierosy i wódkę przesłania mu prawdę o strasznym losie milionów Polaków, o ruinie polskiego państwa. Że też ktoś z rodziny nie namówi tego bezwstydnego starca aby przestał się wreszcie exhibować, aby przestał gadać, przestał pisać, aby pozwolił o sobie zapomnieć i nie kpił w żywe oczy z polskiego nieszczęścia.

PAN ZŁOTOWSKI AWANSOWAŁ

Przy rozdrapywaniu posad w “ambasadzie” warszawskiej w Waszyngtonie wdarł się na jedną z najlepszych — pan Złotowski młody ryzyk-fizyk, który jeden z pierwszych wśród polskich uchodźców przystał do bolszewików i zaraz otrzymał zato intratną nagrodę. Jest to podobno siła naukowa dużej klasy, której jednak co innego jest w głowie i która obecnie świeci jako jeden z największych klejnotów kolaboracjonizmu. Kiedy dwa lata temu pan Złotowski ogłosił w jednym z pism francuskich swoje polityczne wyznanie wiary, będące właści-

wie kupą błota, rzuconą na Polskę — wielki humanista i wielki demokratą Henri Gregoire, znający wszystkie literatury świata, zawołał: “Znam, znam ten głos! To jest Targowica!” Jak się tedy okazuje — nie wszystko złoto — co Złotowski.

TUWIM GORSZYCIELEM BOL-SZEWIKÓW

To co tutaj piszemy jest to “podobno” ale “podobno” które nam komunikują ludzie wiarogodni, a w co o tyle łatwo uwierzyć, że drugiego takiego fantastycznego gaffiarza jak Tuwim nie było w całych dziejach polskiej literatury. Podobno tedy, Tuwim zainaugurował swoją działalność literacką w Polsce ogłoszeniem poematu “Jak w operze”, który w jego wyobrażeniu miał być arcydziełem w guście nowej demokracji i nowej sztuki. Tuwimowi, który jest najbardziej społecznym z pisarzy polskich, pomieszały się w słabej głowie dawne humanitarne i kulturalne rewolucje z najazdem bolszewickim i przypomniały się dawne dobre czasy, kiedy to pod dobrotliwym okiem sanacyjnych rządów pisał co mu się podobało i był fetowany przez pułkowników i spijany przez Komisarza Rządu. Kropnął tedy sobie coś w swoim dawnym, bardzo młodzieńczym stylu, tym od którego najbardziej ekscytowały się namiętne panienki z “Ziemiańskiej” i łódzkie “jedynaczki króla smalcu”. Nie ręczymy za ścisłość cytaty, ale podobno poemat zawierał takie np. “mocno” wiersze: “Dzisiaj wieczór bal w operze. Każda dziwka majtki pierze”. I oto zrobiła się heca, która przypominała może Tuwimowi jego młodość, kiedy to warszawska czarna reakcja literacka i polityczna chciała go wyświecić z polskiej literatury, splawić jak wszeteczną czarownicę; tylko może tym razem zabrała się do niego nie t. zw. prawica ale jego własni przyjaciele i protektorzy bolszewicy, którzy oczywiście nie tylko nie chcą takiej poezji jak ów “Bal w operze”, dobrej może dla zblazowanych burżujów nie zaś dla “ludu” — ale którzy wogóle niczego nie chcą tylko głosowania na wspólną listę i lizania butów Stalina i Bieruta. Cała ta heca, zastrzegamy się, miała miejsce “podobno” ale dla znających Tuwima i dla znających bolszewicką “sztukę” jest ona tak prawdopodobna, że dajemy jej echo pewne, że jeśli nie zdarzyła się dotąd — zdarzy się jutro. Oczywiście, że nie bronimy owego “Balu w Operze” i bardzo możliwe, że Tuwim nie po raz pierwszy przebrał w nim miarę, jakby zamieszczona przez nas cytata na to wskazywa-

ła. Chodzi jednak o co innego, chodzi o to, że... Tuwim jeśli będzie chciał być prawdziwym poetą — nie będzie mógł być jednocześnie czołowym bolszewikiem i niepojęte jest, że ten człowiek tak niemądry ale tak dowcipny, nie rozumiał tego przystając do tej bandy.

Natomiast jeśli będzie chciał naprawdę podobać się swoim chlebedawcom, nie pozostanie mu nic innego niż pisać takie np. wierszyki dla dzieci: "W ławce siedzi Halina i mała Maniuta, co kochają Stalina i pana Bieruta". Albo dla dorosłych: "Nad Niemcem odnieśliśmy zwycięstwa morowe — Pod Grunwaldem Żymierski pobił ich na głowę".

"ABY DOCHOWAĆ WIERNOŚCI"

W ukazującym się w Szwajcarii, wydawnictwie "Pod prąd", czytamy o smutnej "karjerze" gen. Prugar-Ketlinga:

"Pamiętamy wszyscy w Szwajcarii tytuł tej książki o bohaterstwie żołnierza polskiego w kampanji wrześniowej. Napisał ją w r. 1941 ówczesny dowódca 2 Dyw. Strzelców Piechoty interonowanej w Szwajcarii, podówczas jeszcze generał Wojsk Polskich Prugar-Ketling.

Na treść książki składają się dzieje 11 Karpackiej Dywizji Piechoty, która — wraz z innymi jednostkami — przebiła się na odsiecz Lwowa. Stąd tytuł książki "Aby dochować wierności" najwierniejszemu z miast Rzeczypospolitej.

Później gen. Prugar-Ketling tej wierności, jak wiadomo, nie dochował. Bo nie tylko zameldował się u "warszawiaków", ale również w Kraju służbę swoją rozpoczął od czynnego udziału w komisji sowiecko-warszawskiej, wytyczającej "nasze" nowe granice wschodnie, a więc komisji, która pozostawiała Lwów polski po tamtej — sowieckiej stronie.

Suto go za to chlebedawcy wynagrodzili: dostał on mianowicie . . . order Grunwaldu aż trzeciej klasy!

Alle widoczne i to okazało się niewystarczające dla przypieczętowania całkowitej "błagonadzieńności" p. Prugar. Zażądano więc rewizji generalnej poglądów, wyrażonych w jego książce, którą pisał, gdy był jeszcze generałem polskim. I oto pan Prugar — Ketling podjął się paskudnej roli napisania "poprawek historycznych" do książki polskiego generała Prugar-Ketlinga.

Okazało się więc obecnie, że dywizję prowadził w ów rejon gen. Prugar-Ketling nie z zamiarem — jak to miało miejsce w książce — przebić się na odsiecz Lwowa, ale celem — jak chce dzisiaj "zmontowania obrotu stałej".

A no, można i tak!
Czego się nie robi, ażeby . . . dochować wierności!"

DENERWUJĄCA KSIĄŻKA

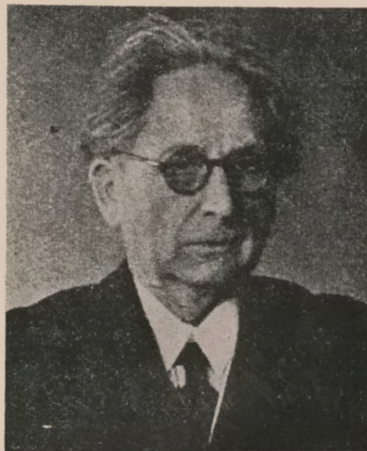
W serji kieszonkowych "Penguin Books" ukazał się świeżo przedruk angielskiego "Pelicana", tomik Christiana Darntona, "You and Music", który "New York Times" określa w recenzji jako książkę "irytującą". Powodem tego są, według N.Y.T., błędy.

Dla Polaków ta książka też jest "irritating", ale nie ze względu na błędy! Jest irytująca z powodu pominięcia w niej muzyki polskiej. Wprawdzie zdołaliśmy się do tego przyzwyczaić, bo polska muzyka jest często w takich wydawnictwach pomijana (szczytem szczytów było przemilczenie polskiej muzyki ludowej w olbrzymiej encyklopedji muzycznej, niedawno wydanej pod redakcją znanego tutaj Oscara Thompsona), ale zignorowanie jej właśnie w tej publikacji jest szczególnie niesmaczne. — Dlaczego?

W "You and Music" można znaleźć muzykę i kompozytorów Niemiec, Francji, Anglii, Ameryki, Polinezji(!), Rosji, jest wspomniana muzyka indyjska i indjańska, żydowska i arabska, słowem jest wszystko czego się chce i, jeszcze częściej, czego się nie chce — niema tylko polskiej.

Alle nie bądzmy niesprawiedliwi! Polska jest! — Mianowicie na odwrotnej stronie okładki, w notatce o autorze, czytamy, że jest on kompozytorem, a dosłownie — "jego pięć utworów na orkiestrę znalazło się między trzema kompozycjami, reprezentującymi Anglię, na Festiwalu Muzyki Międzynarodowej, jaki odbył się w roku 1939 w Polsce". Więc jest Polska! Tylko autor nie ma taktu.

STRATY KULTURY POLSKIEJ



Znany kompozytor polski ś. p. Feliks Nowowiejski, twórca muzyki do "Roty" Konopnickiej.

Kronika katolicka

Rosme Curtiss, korespondentka prajdyków angielskich, o której tyle się w statnim czasie mówi i pisze, ogłosiła artykuł o położeniu Kościoła w Polsce.

Poniżej podajemy fragmenty tego interesującego reportażu, pełnego informacji i bystrych spostrzeżeń:

"NARÓD POLSKI CIERPIAŁ, i nadal cierpi pod względem fizycznym i ekonomicznym. Ponad wszystkim króluje obawa przed U. B. — policją bezpieczeństwa, która może zupełnie swobodnie aresztować bez powodu i poddać swemu sądowi każdego.

Z tej walki nerwów, z tych ofiar ludzkich, z tego zmagania się o byt, z tych cierpień ogólnych narodu, wyłoniło się głębokie odnowienie religijne. Religja dla narodu nie jest dzisiaj kwestją uczucia. — Jest to wiara głęboka, mocna i żywa. Charakteryzuje ją wielka tęsknota za wiedzą nadprzyrodzoną i dążność do lepszego poznania liturgji".

"ŚWIĄTYNIE SĄ PEŁNE nie tylko w niedzielę, ale w dni powszednie również. O jakiegokolwiek godzinie i w jakiegokolwiek dzień wstępowałam do Domu Bożego, znajdowałam w nim zawsze rozmodlone osoby. Ta wiara sprzeciwia się rozwojowi komunizmu w Polsce. A przecież rząd tymczasowy warszawski ma właśnie za cel rozszerzenie swojej ideologii. Ten fakt nadaje dzisiaj taką ważność Kościołowi w Polsce".

"W ŁODZI miałam okazję zwiedzić szkołę, w której się nie toleruje żadnej wzmianki o religji. Została ona otwarta dla dzieci robotników jednego z przedsiębiorstw tekstylnych. Dotychczas posiadała jedynie 100 uczni. Robotnicy bowiem wolą wysyłać dzieci do szkół, w których uczy się żyć po bożemu. Różnica jednak płacy wychodzi na korzyść nauczycieli szkół otwartych przez rząd. Otrzymują oni 1000 złotych miesięcznie za godzinę nauki na tydzień, podczas gdy w szkole katolickiej za tę samą pracę wychowawczą dostaje się tylko 120 złotych (kilo chleba kosztuje około 30 złotych na wolnym rynku)".

"PRASA KATOLICKA, naprzykład, już wówczas podlegała ścisłej cenzurze prewencyjnej i była skąpo obsługiwana przy przydziale papieru. Można śmiało powiedzieć, że 90 procent narodu polskiego — to katolicy; tymczasem — tylko 50 procent papieru przydziela się na czasopisma katolickie. Najlepszy, "Tygodnik Powszechny" z Krakowa ma pozwolenie na 30 tysięcy egzemplarzy, gdy zapotrzebowanie — skromnie licząc — domaga się ich 100 tysięcy".

"NOWY DEKRET zabrania zakonnikom uczyć w szkole, począwszy od 1-go sierpnia tego roku.

Szkoły klasztorne mogą dalej funkcjonować, lecz pod warunkiem, że grono profesorskie stanowić będą ludzie świeccy. Rzecz to trudna do zrealizowania, wzięwszy pod uwagę przerzedzenia kadr pedagogicznych. Brak duchownych w tej dziedzinie pracy osłabi niechybnie, już i tak przeładowany pracą i nie stojący na poziomie, dotąd działający personel”.

“OD CZASU REFERENDUM, rząd, czując się pewniejszy, szuka sposobu rozwiązania problemu ustosunkowania się do Kościoła, który mu stoi na drodze i przeszkadza w osiągnięciu celów”.

“NARÓD ZACHOWAŁ JEDNAK SWĄ WIARĘ i swą zdumiewającą odwagę. Słyszałam i księży i laików, mówiących jednakowo. “Może przyjsie prześladowanie, lecz ono nas tylko wzmocni. Tyleśmy już przecierpieli, zniesiemy jeszcze i to”. Nas, ludzi zachodu, ta odwaga wprawia w pewne zakłopotanie. Ważnym jest jednak ponad wszystko, abymy o niej wiedzieli i zrozumieli jej sens. Polska nie walczy tylko dla swojej sprawy! Ten naród jest pierwszą przeszkodą do rozlania się komunizmu po Europie. Swą sytuacją odgrywa on rolę pierwszej linii frontu.

Dzięki Bogu, jest to może Kraj najbardziej odpowiedni do prowadzenia tej walki ducha. Jego wysiłki i jego ofiary powinny być znane, gdyż właśnie ta linia frontu broni całego pola ewentualnej bitwy — Zachodu”.

KS. W. GIEBUROWSKI, znawca światowej muzyki kościelnej zmarł w Warszawie.

W kilku słowach

Z POLSKI

POLICJA POLITYCZNA aresztuje ludzi i zmusza ich albo do podpisania zeznań obciążających albo do oddania się na usługi policji. W razie oporu zamyka się ich i bije aż do skutku.

ZWYZKA CEN W KRAJU osiągnęła w ostatnich tygodniach ponad 30%. Zboże zdrożało z 1,000 zł. do 1,300 za kwintal, mleko o 5 zł. na litrze, kartofle z 2, 5 do 4 zł. za kilo w hurcie.

ARSENAŁ, zabytkowy budynek przy ul. Długiej 52 i pałac przy ul. Długiej 17 zostały zabezpieczone przez położenie prowizorycznego dachu.

30,000 **MAZUROW I WARMIAKOW** ma powrócić z Niemiec do swych gospodarstw.

WICEDZIEKAN Warszawskiej Rady Adwokackiej, mgr. Rek, twórca rozłamowej grupy PSL — Nowe Wyzwolenie otrzymał “w nagrodę” stanowisko wiceministra sprawiedliwości.

77 **WOKOW POCZTOWYCH** skradziono, a 97 uszkodzono z ładunku pocztowego, który przybył z Ameryki do Gdyni na statku “Mormacsea”.

TRUMNA SIENKIEWICZA w podziemiach katedry warszawskiej została rozbita przez nieznaną złoźcynców.

Z OBOZÓW POLSKICH W NIEMCZECH

WSROD NAUCZYCIELI GIMNAZJUM POLSKIEGO w Wiesbaden przeprowadzono weryfikację (przeprowadziły ją władze amerykańskie). Weryfikacja wypadła pozytywnie, więc nauczyciele przystąpili do pracy. Po kilkunastu dniach niespodziewanie wywieziono z obozu ok. 170 osób, a wraz z nimi grupę nauczycieli. W rezultacie znaleźli się oni w niemieckim obozie przejściowym.

UNRRA ROZWIĄZUJE STOW. KOMBATANTOW. PAT donosi, że w polskim ośrodku wojskowym w Reckenfeld miejscowe władze UNRRA nakazały rozwiązanie koła Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Dowództwo ośrodka wystosowało do bry-

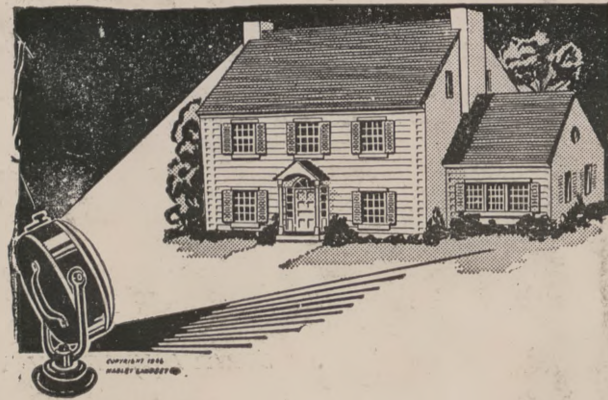
tyjskich władz wojskowych protest i prośbę o uchylenie krzywdzącej decyzji oraz zapobieżenie podobnym wypadkom na przyszłość.

SZUKAJĄ WAS — ODEZWIJCIE SIĘ!

RĄCKI ANTONI poszukuje krewnych 1—Ignacy Rącki, ur. ok. 1878, wyjechał w r. 1921 do Milwaukee, 2—Władysław Rącki, ur. ok. 1903, wyjechał do Chicago w r. 1925.

ŻEBROŃSKI Mieczysław, Camp No. 3, Duncombe Park, 2nd Polish Tes. Reg. Helmsley, Yorkshire, England — poszukuje brata Stefana Stanisława Żebrowskiego, syn Aleksandra i Rozalii z Chranowskich, z Polski — Rutki-Kossaki, pcw. Łomża, woj. Białostockie.

Potrzebni czyściciele do budynków biurowych, do pracy nocnej. Doświadczenie niepotrzebne — 40 godzin pracy — bardzo dobra płaca. Należy zgłosić się do pana Inge— 59 Pine St., New York City.



GUSTOWNE I SOLIDNE MEBLE ORAZ PIECE, LODÓWKI ELEKTRYCZNE, RADJA, MASZYNY DO PRANIA, DYWANY I LINOLEUM

poleca w wielkim wyborze

PULASKI FURNITURE CO.

STEFAN MYŚLIŃSKI, właściciel

693-5 MAIN AVENUE

PASSAIC, N. J.

naprzeciw Stacji Kolejowej Erie

Wszystkie autobusy z Nowego Jorku zatrzymują się przed składem